Cena 18 fen. — 13 cent.

Nr. 19. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Października 1896. Nr. 19.

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Tak więc z wielką liczbą innych numerów wzrastałam przez lat kilka, cieleśnie dość dobrze hodowana, przyzwyczajana do praktycznej nauki i nie traktowana ze zbyteczną surowością. Ale o duchową stronę mojej istoty i rozwój zdolności serca nikt się nie troszczył. Założyciele owego przytułku działali zapewne w jak najlepszej wierze, a dobrze płatni nadzorcy i ochmistrzynie zasypiali z najspokojniejszem sumieniem. Pomimo to niejedno tkliwsze dziecięce serce mogło uschnąć z tęsknoty za przychylniejszą opieką.

Biedne te istoty nie pojmowały nawet, na czem im właściwie zbywało, i ja podobnież zaledwie w parę lat później zrozumiałam ów ból tajemny, który wtedy uciskał moje serce, czyniąc mię tak upartą i niesforną. »Co też to za niegodziwe, zacięte stworzenie, ten numer 67!« mówiono za każdym razem, kiedy przez krnąbrność ściągnęłam na siebie jaką karę. Kara nie poprawiła mię bynajmniej, a nikt nie wiedział o tem, że moje serce aż drżało z tęsknoty za jednem tkliwszem słowem, które odrazuby przełamało chęć oporu.

Ale któż tam mógł zwracać uwagę na biedne jakieś dziecię, mając ich tyle przed sobą! Nasze ochmistrzynie były rade skoro nas się mogły pozbyć, choć na parę godzin. Przyznać jednak należy, że wszelkie pozory przemawiały na ich korzyść, bo dzieci po większej części wyglądały czerstwo i porządnie. Nawet i moje wątłe siły wzmacniały się zwolna; zaczęłam nawykać do nowego sposobu życia. Do najpiękniejszych dni liczyłam naówczas te, w których mię wujaszek Bill odwiedzał.

Przypominam sobie, jak ważną epokę w mojem życiu stanowiły dla mnie pierwsze jego odwiedziny — dla mnie, o którą się dotąd żadna żywa dusza nie zapytała w zakładzie. Jakież zdumienie musiało mię ogarnąć, kiedy po raz pierwszy zawołaną zostałam do nieznanej dla mnie sali, w której sierotom dozwalano widzieć się z krewnymi...

Nieśmiałym krokiem przestąpiłam próg tajemniczego przybytku, a jakiś

wysoki i silny mężczyzna z zuchwałem spojrzeniem, w nieporządnej odzieży, wyciągnął do mnie długie ręce i porwał mię na kolana. Z czułością odgarnął mi włosy z czoła i ucałował je kilkakrotnie. Z rozkoszą przyjmowałam te pieszczoty, gdyż od czasu śmierci mojej matki, po raz pierwszy spotykało mię coś podobnego; zapominając o wszelkiej trwodze, z miłością przytuliłam się do niego, uszczęśliwiona, że mi znowu było wolno kochać kogokolwiek na świecie. A trzeba wiedzieć, że i wujaszek Bill po swojemu bardzo mię kochał.

Był on bratem mojej matki, i znacznie później niż moi rodzice opuścił Irlandyą. Wprzód nim się zebrał mnie odwiedzić, dosyć już natułał się po świecie. Sam Bóg wie, dlaczego moja matka umarła w nędzy, podczas kiedy on posiadał tak silne ręce, które ją mogły od niej zasłonić! Kto wie nawet, czy spóźniona skrucha nie sprowadziła go do przytułku sierót, skoro się dowiedział o śmierci siostry. Dość, że po tych pierwszych odwiedzinach przychodził on potem często; takie dni były dla mnie prawdziwą uroczystością, gdyż nietylko przynosił mi rozmaite zabawki i łakocie, mające taki powab dla każdego dziecka, ale jeszcze przez swoje opowiadania napełniał moję wyobraźnię najświetniejszymi widokami przyszłości.

Pomiędzy jednemi a drugiemi jego odwiedzinami następowały znaczne przerwy, które zapełniałam tęsknem i niecierpliwem oczekiwaniem. Raz nawet nie pojawił się przez rok cały, tak, że już zwątpiwszy o jego powrocie, byłabym jak najchętniej poszła go szukać, gdybym tylko wiedziała dokąd się udać.

Liczyłam wówczas lat trzynaście, z których pięć przepędziłam w przytułku sierót, kiedy wtem niespodzianie ku memu najradośniejszemu zdumieniu, wujaszek Bill pojawił się znowu. Ale nie był to już ów mężczyzna ubogiej powierzchowności, ubrany nędznie i z zaniedbaniem, przeciwnie w całym jego układzie i odzieży zaszła teraz tak wielka zmiana, iż zaledwie zdołałam go poznać. Ta właśnie okoliczność wzbudziła w nim serdeczną radość, którą objawił głośnym śmiechem. Ja jednak nie przestawałam spoglądać na niego z podziwieniem, widząc w nim skończonego gentlemana, ubranego wytwornie od stóp do głowy.

Dla mnie podobnież przyniósł on w podarunku całkowite ubranie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie posiadałam; o małom nie zwaryowała z radości, kiedy mi oświadczył, iż zabiera mnie z sobą.

Administracya przytułku oddała mię chętnie w ręce wuja, który zobowiązał się myśleć o mojej przyszłości.

Jakim sposobem wujaszek Bill został nagle wielkim panem, o to nie pytałam go wcale, a i moi dotychczasowi opiekunowie nie zwracali uwagi na to nagłe zbogacenie się, które w Ameryce należy do najzwyczajniejszych rzeczy.

Upajałam się radością na samą myśl, że teraz zostanę wielką panią, jak mi to wujaszek Bill najuroczyściej przyrzekł. Te nierozsądne wyrazy, które zwrócił do próżnego dziecka, były teraz celem wszystkich moich marzeń. Dla dopięcia celu chętnie poddawałam się wszystkim rozkazom wuja, w końcu zgodziłam się nawet na nowe rozłączenie, kiedy miał mię odesłać na pensyę. Byłam pojętną uczennicą i wkrótce tak przyswoiłam sobie formy towarzyskie, że znający się na nich wujaszek Bill zachwycony był moją zmyślnością. Dodawał zawsze, że jeżeli chcę zostać wielką panią, będę się musiała jeszcze dużo, bardzo dużo nauczyć.

Te czarodziejskie wyrazy były dla mnie dostatecznym bodźcem; z bijącem radośnie sercem powitałam wytworną pensyą panien w Saint Louis.

Zakład wychowawczo-naukowy, zostający pod kierunkiem niejakiej pani Sternsky, miał już ustaloną sławę u osób wielkiego świata, których córki pobierały w nim nauki. Uczono tam bardzo wiele niepotrzebnych rzeczy, a za nabycie tej wyższości umysłowej, nader miernej wartości, płacono bardzo drogo. Wujaszek Bill płacił za mnie ze wspaniałomyślnością prawdziwego Krezusa; dzięki jego hojności, pani Sternsky przyjęła mnie z

wielką życzliwością pod swoje opiekuńcze skrzydła. Nazwała mię miluchnem, wysoko uzdolnionem stworzonkiem, które pod jej światłym kierunkiem wyrośnie wkrótce na prześliczną, utalentowaną panienkę. Wymieniła przytem kilka znakomitych nazwisk, które zrobiły wielkie wrażenie na moim wujaszku. Uspokojony jej miodopłynną wymową, pozostawił mnie z największem zaufaniem w jej zakładzie, na co i ja z wielką przyjemnością się zgodziłam. Trudno sobie wyobrazić większą sprzeczność nad tę, jaka istniała pomiędzy ubogim domem przytułku dla sierót, a tym wytwornym zakładem mieszczącym córki najpierwszych rodzin; jednakże odrazu przejąwszy miejscowe obyczaje, znalazłam się jak u siebie. Mimowolnie uwierzyłam zdaniu wuja, który utrzymywał, że posiadam nierównie więcej rozumu i pojętności niż inne dzieci w moim wieku. Nigdy nie wspominałam gdzie się pierwiastkowo chowałam i już na własną odpowiedzialność postanowiłam opowiedzieć moim towarzyszkom bajeczkę o pałacyku wiejskim w Rocky-Mountain, gdzie dawniej niby mieszkałam z wujaszkiem.

Kiedy tenże zaczął opisywać szczegółowo swoję bogatą siedzibę, chcąc zaostrzyć moję ciekawość, przytakiwałam mu z radością. Wiedziałam z dawniejszego doświadczenia w przytułku sierót, jak dzieci lubią się wypytywać wzajemnie o domowe stósunki i jak lekceważą zwykle ubóstwo; wykwintne uczennice zakładu pani Sternsky nie stanowiły wyjątku pod tym względem, z takiem samem urąganiem odsunęłyby się odemnie, jeśliby się dowiedziały o mojem pochodzeniu. Umyśliłam więc oszczędzić sobie upokorzenia za pomocą kłamstwa, które, jako nieszkodzące nikomu, nie wydawało mi się nagannem.

Bajeczka wybornie mi się udała, żadna z moich towarzyszek nigdy się nie domyślała, że Edyta Frinksly wychowywała się między sierotami przytulonemi przez miłosierdzie; myślały, że jak one chodziłam od najpierwszego dzieciństwa po posadzkach wysłanych perskiemi dywanami, po miękkich gazonach parku.

Tu Edyta przerwała na chwilę opowiadanie.

— Żywa wyobraźnia, mówiła dalej, jest darem niebezpiecznym, skoro bowiem nie zostanie okiełznaną mądrem kierownictwem, najczęściej ciągnie za sobą do zguby człowieka. Tak się też stało i ze mną. Wpośród bezustannego kłamstwa, sama uwierzyłam w końcu w zmyśloną przyszłość, zapominając coraz bardziej o teraźniejszości.

Pełna nienasyconej ambicyi, uczyłam się z największym zapałem, ażeby wyprzedzić we wszystkiem moje towarzyszki i wynagrodzić sobie dawną nieświadomość, co przy obfitych środkach pomocniczych przychodziło mi z wielką łatwością. Ze szczególnem upodobaniem uczyłam się obcych języków i muzyki; połykałam chciwie wszelkie książki, jakie znalazłam pod ręką. Nikt mi tego nie bronił w zakładzie, gdzie nie ograniczano osobistej wolności pensyonarek. Uczono nas wszystkich przedmiotów objętych programem wyższego wykształcenia, oprócz religii, którą lekceważono otwarcie. Nauka religii ograniczała się na kilku religijno-naukowych odczytach pastora; był on naówczas modnym kaznodzieją w Saint-Louis, i dlatego tylko został nauczycielem w zakładzie pani Sternsky, która należała do tak zwanych »bezwyznaniowych.« Poraz pierwszy dowiedziałam się jakiego byłam wyznania, kiedy wujaszek Bill zrobił uwagę mojej ochmistrzyni, iż może nie należałoby mi słuchać wykładu wielebnego Benda, ponieważ byłam katoliczką. Odpowiedziała, że to wszystko jedno.

Wujaszek Bill dał się najzupełniej przekonać, a ja byłam zadowoloną, że i religii uczyłam się z bogatemi koleżankami. Jak niegdyś w przytułku praktykowałam nabożeństwa kwakierskie, tak samo i dziś słuchałam przesadzonych dowodzeń anglikańskiego pastora — to jest z najzupełniejszą obojętnością. Jedyną moją praktyką religijną w ciągu tak wielu lat było to, iż niekiedy, będąc zupełnie samą, klękałam i powtarzałam pocichu pacierz, którego mnie w dzieciństwie nauczyła matka.

Był on zawsze świętością dla mnie, chociaż powtarzałam go raczej w skutek szacunku dla pamięci matki, aniżeli z religijnego poczucia. Najlepiej ze wszelkich pojęć trafiała do mego przekonania filozoficzna zasada pani Sternsky, która często mawiała: »Ktokolwiek się nie stara o ile tylko można najweselej używać swojego życia, jest głupcem, bo wraz ze śmiercią wszystko się dla nas kończy!«

Nic też dziwnego, że i ja także pragnęłam używać życia, a warunkami niezbędnemi do tego były bogactwo i pomyślność. Wujaszek Bill wprawdzie przyjeżdżał sam bardzo rzadko, ale opłacał regularnie za edukacyą i utrzymanie, nie żałując pieniędzy na moje osobiste przyjemności, w których mogłam wyrównać najbogatszym towarzyszkom. Tak upłynęły dla mnie cztery lata w zakładzie pani Sternsky, przy końcu których, otrzymawszy najchlubniejsze świadectwa z ukończonych nauk, już snułam rozkoszne marzenia o przyszłości. Wtem oznajmiono mi bardzo niemiłą wiadomość, że wujaszek Bill zamiast przyjechać po mnie, przysłał mi tylko pieniędzy na drogę do Nowego Orleanu, gdzie nagle się rozchorował. Nie obawiałam się bynajmniej tak dalekiej podróży, ale zdziwił mię ton dziwnie obojętny, jakim do mnie przemawiała tak zwykle nadskakująca pani Sternsky, oraz dumne spojrzenia dawnych towarzyszek, dziwiących się, że nie przysyłano po mnie przynajmniej kogoś z wyższej służby.

Takie postępowanie ubodło srodze moję próżność; kiedy z wielkim pospiechem i lekceważeniem czyniono przygotowania do mego odjazdu, ja żegnając grzecznie przełożoną, ściskałam pięści, przysięgając sobie, że się kiedyś zemszczę na wszystkich za okazaną mi wzgardę. Tą myślą pocieszona wsiadłam na pociąg, który opuściwszy Saint-Louis, przebiegał nieskończony ciąg preryj, dążąc ku odległemu celowi mej podróży. Pomimo wszelkich usiłowań czułam się dziwnie pognębioną, znieważoną, strąconą z wyżyny mojego szczęścia, kiedy przeliczyłam pozostałe pieniądze, które mi pani Sternsky, po kupieniu biletu, doręczyła z szyderską przestrogą, ażebym się starała być oszczędną. Nie wiem dlaczego, ale w owej chwili, ja biedna wychowanka domu sierót, która dopiero w ciągu ostatnich lat czterech poznałam zbytek i rozkosze życia, poraz pierwszy zastanowiłam się nad wartością pieniędzy. Strata wymarzonego majątku i stanowiska wydawała mi się czemś niesłychanie okropnem, a jednak srogie przeczucie mówiło mi, że musiała w położeniu dotychczasowem zajść jakaś niepomyślna zmiana, i że przyszłość przyniesie mi same tylko zawody i rozczarowanie. Niestety! to złowrogie przeczucie nie omyliło mię bynajmniej. Domyśliłam się wszystkiego, spojrzawszy na wujaszka Billa, który oczekiwał mnie w dworcu kolei żelaznej, w Nowym Orleanie. W całej jego postaci nie było już ani śladu bogatego gentlemena: wytarta odzież przypominała nędznego awanturnika, z którym się zapoznałam w domu sierót. Wówczas uboga suknia nie przeszkodziła mi bynajmniej do rzucenia mu się na szyję i odpowiedzenia uściskiem na jego serdeczne powitanie, ale teraz uczułam dziwny wstręt na widok jego zaniedbanej postaci, i moja ręka, odziana jasną rękawiczką, wysunęła się czemprędzej z jego dłoni. Wujaszek Bill musiał odczuć to nieprzyjemne wrażenie, usta jego bowiem ściągnęły się gorzkim uśmiechem, który nie zatarł jednak całkowicie na jego twarzy wyrazu uwielbienia.

— O cudowna dziewczyno! a toś ty wyrosła na wielką damę, na którą nie naprózno wydałem tyle pieniędzy. O, te pieniądze muszą mi teraz przynieść należyty procent, któryby nam pomógł do wygrzebania się z biedy. Teraz szalenie długo mój okręt siedzi na mieliźnie — ale cóż począć, muru głową nie przebijesz!

Mówił on tak, postępując obok mnie i pomagając do odebrania przywiezionych rzeczy. Spostrzegłszy moje ciężkie kufry, zaśmiał się znowu.

— A to ślicznie z twojej strony, senora, że przynajmniej coś przywiozłaś z

sobą, bo u mnie zastaniesz teraz nadzwyczaj mało ruchomości!

W niemem osłupieniu przysłuchiwałam się tym wyrazom; nie chciałam ich zrozumieć, a jednak pojmowałam wszystko aż nadto dobrze. Nim dojechałam do skromnego domku na przedmieściu wiedziałam już, że zostałam strąconą ze słonecznych wyżyn szczęścia, w otchłań powszedniej niedoli. Chociaż z początku wydawało mi się to niepodobnem, musiałam zrozumieć nakoniec, że przy tak awanturniczem życiu, jakie prowadził wujaszek, zmiana ta była naturalną.

Jako jedyne pamiątki dawnej zamożności, pozostał mu tylko ładny, choć niewielki dom z ogrodem na przedmieściu Nowego Orleanu i sterane zdrowie: dręczony męczarniami podagry, nie mógł się ruszyć z pokoju. W tak przykrych okolicznościach, ów domek, do którego przyszedł Bóg wie jakim sposobem, był dla niego prawdziwym portem ocalenia, a moja obecność jedyną ulgą w cierpieniach. Kochał on mnie prawdziwie, jako dziecko swojej siostry. Było to może jedyne dobre uczucie w sercu tego słabego, upadłego człowieka, gdyż równie w złych, jak i w pomyślnych czasach chętnie dzielił się wszystkiem ze mną, a w ciągu czterech lat ostatnich dosłownie zasypywał mię złotem, przyzwyczajając do próżności i zbytku. To przekonanie, pomimo doznanego zawodu, obudziło w mojem sercu tkliwsze uczucia. Nie chciałam pozwolić ażeby ten, który w dniach mojej sierocej niedoli z taką przychylnością mną się zaopiekował, doznał mojej niewdzięczności, zostawszy ubogim. Zdobywając się na największą odwagę, poddałam się pozornie warunkom teraźniejszego życia, odkładając złote sny o przyszłości na samotne godziny.

Prawdę powiedziawszy, miałam tych godzin aż nadto, ponieważ całe gospodarstwo domowe pozostawało w rękach poczciwej mulatki, która uważając mię za jakąś wyższą istotę, nie pozwalała się dotknąć najmniejszej roboty. Całem więc mojem zajęciem było bawienie chorego. Wzięłam się do tego z prawdziwą dumą, rozwijając wobec niego wszystkie moje zdolności... Jego zdziwienie pochlebiało mojej próżności i zachęcało do coraz większego okazywania moich talentów. Był on zachwycony, że umiałam tak wiele obcych języków, a zachwyt ten wzrósł jeszcze, kiedy zadeklamowałam mu jednę z naszych starych ballad irlandzkich. Spoglądał na mnie z podziwieniem i zawołał radośnie kiedym skończyła:

— Przez Boga! dziewczyno, a toć ty posiadasz talent, który dosłownie da się zamienić w najszlachetniejsze złoto. Teraz już jestem pewny, że oboje wybrniemy z biedy. Moja Edy, ty musisz zostać aktorką!

Ten nowy pomysł zajął niezmiernie chorego. W jednej chwili rozwinął on nadzwyczaj świetny obraz wielkości i bogactwa, który moja wyobraźnia chwytała z taką chciwością, jakgdyby już przedemną otwierały się wrota wymarzonego raju. Cały jego plan zdawał się być osnutym z nici połyskujących złotem. Wprawdzie środki do dopięcia tak świetnego celu nie odpowiadały moim marzeniom, a znajomości wujaszka Billa były dość wątpliwej wartości — trudno jednak było żądać od siedmnastoletniej dziewczyny, żeby umiała poznać szych, którym łechtano jej dziecinną próżność.

Bez wahania zatem weszłam w stosunki z pewną trupą aktorów; zapewniano mię, że zostanę wkrótce jedną z najświetniejszych gwiazd na widnokręgu sztuki amerykańskiej. Owa gwiazda weszła na deskach jednego z najmniejszych teatrzyków przedmieścia.

Nie bez pewnej zdolności i z ową pilnością, jaką nadaje zamiłowanie przedmiotu, studyowałam role i do tego stopnia przejmowałam się niemi, że nawet na większym teatrze, pierwszy mój występ mógł mi zapewnić powodzenie. Przyjęcie jakiego doznałam zaledwie w części mię zadowolniło, ponieważ publiczność, nie żałująca mi oklasków, nie była podobną do owego wytwornego towarzystwa, jakie widywałam niegdyś po teatrach w Saint-Louis. Pozwól mi zamilczeć o dalszych szczegółach — gdyż samo wspomnienie rani moje serce. Mo-

gę powiedzieć tylko, że grałam lepiej od wielu moich towarzyszek. Wiedziałam o tem, ale zuchwalstwo z jakiem mi to powtarzano, chwaląc zarazem moję urodę, zerwało przepaskę złudzenia z moich oczu. Zraniona głęboko w mojej dumie niewieściej, oburzona, użalałam się przed wujem, a ten mię za to wyśmiał:

— A niechże cię takie drobnostki nie zrażają! tłumaczył. Z uwielbieniem i pochwałami ludzkiemi dzieje się tak samo jak z pieniędzmi. Nie wszystko możemy odbierać od drugich w złocie, tu i owdzie zaplączą się pomiędzy nie groszaki, które poprostu można odsunąć na bok, jeżeli nie potrzebujemy z nich zrobić użytku.

Coś szczególnego zaszło naówczas we mnie. Od tej chwili przestałam już na zawsze wierzyć ludziom. Odzyskawszy jednak władzę nad sobą, odrzekłam spokojnie:

— Nie, mój wujaszku, ja nigdy nie zdobędę się na podobną wyrozumiałość: wolę ztąd odejść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ormianie i kościół ormiański.

(Dokończenie.)

Przy końcu V wieku w dziejach ormiańskiego Kościoła nowy rozpoczął się okres. Ormianie musieli znosić liczne prześladowania ze strony Persów i dlatego na sobór Chalcedoński nie mogli wysłać żadnego przedstawiciela. Później kilku syryjskich czy też perskich biskupów doniosło im mylnie, iż sobór ten przechylił się na stronę sekty, nazwanej podług twórcy jej Nestoryusza nestoryanizmem.

Zarówno Papieże, jak i Grecy, starali się skłonić Ormian do powrotu na łono powszechnego Kościoła, lecz wszelkie usiłowania w tej mierze były daremne. Niejednokrotnie nawet, a zwłaszcza w latach 1145, 1341 i 1439, to jest wówczas, gdy naród ormiański znajdował się w trudnych politycznych warunkach, niektórzy wybitniejsi jego przedstawiciele domagali się przejścia na katolicyzm, lecz głosy ich nie wszędzie znajdowały echo.

Na sławnym soborze Florenckiem (1439) metropolita ormiański z Trebizondy występował jako jeden z najznakomitszych prałatów i gorących zwolenników zjednoczenia się z Kościołem. Rzeczywiście od Florenckiego soboru aż do dzisiaj wielu mieszkańców tak zwanej Wielkiej Armenii, pozostało wiernymi Rzymowi i od tego czasu Kościół ormiański rozpadł się na dwie części, a mianowicie na Ormian katolików i Ormian Gregoryanów.

Głową Gregoryańsko-ormiańskiego Kościoła jest patryarcha czyli katholikos, mieszkający stale w klasztorze świętego Grzegorza w Eczmiadzinie, lecz nie ma on żadnej władzy w Turcyi, gdzie dwaj patryarchowie konstantynopolitański i jerozolimski rządzą swobodnie swemi owieczkami.

Ormianie katolicy podlegają obecnie władzy ormiańskiego patryarchy Cylicyi, który mieszka w Konstantynopolu. Pierwotnie byli oni podwładnymi arcybiskupa z Alepu, lecz w r. 1742 Papież Benedykt XIV wyniósł ich arcybiskupa Abrahama do godności patryarchy Cylicyi. Następnie Papież Pius VIII po wielu usiłowaniach swego poprzednika Leona XII i własnych wyjednał dzięki poparciu Francyi i Austryi to, iż sułtan uznał niezależność wszystkich Ormian katolików od gregoryańskiego patryarchy.

W r. 1867 Papież Pius IX złączył ostatecznie stolice biskupie: cylicyjską i armeńską. Zmarły patryarcha Piotr IX Hassun był pierwszym Biskupem z ormiańskiego narodu, ozdobionym purpurą, gdyż w roku 1880 Papież Leon XIII

mianował go kardynałem. Następca jego Piotr X, Najprzewielebniejszy X. Stefan Azarian, mianowany w r. 1881, znany jest ogólnie z wysokiego szacunku, jaki sobie zdobył u sułtana tureckiego, tudzież z dobroczynnego wpływu, jaki wywiera na interesa wschodnich Kościołów. Wkrótce po jego nominacyi Papież Leon XIII dał wymowny dowód swego przywiązania do ormiańskiego Kościoła, zakładając w r. 1883 ormiańskie seminaryum w Rzymie.

Głównem siedliskiem Ormian katolików jest Turcya, wielu z nich jednak mieszka i w innych krajach. Mają oni obecnie następujące stolice biskupie:

W Turcyi Europejskiej: Konstantynopol. W Egipcie: Aleksandryę. W Persyi: Ispahan. W Rosyi: Artuin. W Austryi: Lwów.

Hierarchia ormiano-katolicka składa się teraz z patryarchy, trzech arcybiskupów i piętnastu biskupów. Cyfra księży wynosi 305 osób, nie rachując w to licznych łacińskich missyonarzy, pracujących w rozmaitych dyecezyach, jak również słynnego zakonu Mechitarystów, i zakonników świętego Antoniego, których ilość do 200 osób dochodzi. Mają oni 189 kościołów i 134 szkół.

W ostatnich czasach założoną została ormiańska kongregacya Sióstr Niepokalanego Poczęcia, mająca główną rezydencyę w Konstantynopolu i poświęcona wychowaniu młodzieży i miłosiernym uczynkom.

Przyrost ormiańsko-katolickiej ludności w ciągu bieżącego stulecia przedstawia się w następujący sposób:

W roku	1800	80.000,
» »	1850	100.000,
» »	1890	120.000.

Jak wiadomo, Papież Leon XIII ceni wysoce Kościół ormiański i wielkie w nim na przyszłość pokłada nadzieje.

JERZY STEFENSON,

WYNALAZCA LOKOMOTYWY.

(Dokończenie.)

Odniesiono się w tej mierze do Stefensona, który wykonanie jej znajdował możliwem; wszakże tak silny przeciwko temu powstał opór, podniecany przez bogatych posiadaczy kanału, że prace przygotowawcze musiały być zaniechane.

Wśród tego pan Pease, który był widział w działaniu maszyną Stefensona, skłonił go do przyjęcia posady mechanika, z płacą 12,000 złp. przy budowie drogi żelaznej, zwanej koleją kwakrów. Obok tego wszedł z nim we spółkę w przedsięwzięciu budowy lokomotywy.

W roku 1825, droga żelazna Kwakrów otwartą została do użytku. Pierwszy pociąg składający się z 38 wagonów, obładowany był zbożem, węglem i 250 osobami; temi ostatniemi w sposobie próby, nikt bowiem wtedy nie pomyślał o użyciu kolei żelaznych do podróży. Stefenson kierował sam maszyną i zadziwienie było powszechnem na widok lokomotywy, przebiegającej około jednej mili na godzinę z podobnym ciężarem.

Pierwsze lody zostały złamane; tak mało jednak osób skłonnych było powierzać życie swoje kolei żelaznej, że jedna stara kolasa, umieszczona na platformie, wystarczała przez czas długi do przewozu podróżnych.

Potrzebną była stacya. Stefenson ją otworzył, a ta zamieniła się odtąd w bogate i ludne miasto Middlesborug, liczące dziś 20 tysięcy ludności; przed rokiem 1825 byłto niewielki folwarczek. Wtedy to wznowiono rzecz o budowę kolei z Liwerpolu do Manszestru; Stefensonowi poruczono naczelny jej kierunek. I tym razem jeszcze zagrożeni



MÓJ ULUBIENIEC. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304.)

dzierżawcy żeglugi na kanale, starali się usiłowania te zniweczyć, wzbudzając względem nich nieufność i trwogę przedsiębiorców i kapitalistów, za pomocą rozsiewanych niekorzystnych wieści i nieprzychylnych ogłoszeń po pismach publicznych. Stefenson odpowiedział na czynione zarzuty uśmiechem i nieustawał w pracy. Komisya parlamentu, przed którą został powołany, miała go za szalonego, gdy ją zapewniał, że za pomocą swych maszyn przebiegać będzie półtrzeciej mili na godzinę. Jeden z członków komisyi rzucił mu wtedy następujące kwestye: Przypuściwszy podobną szybkość za możliwą, to cóżby się stało, gdyby np. krowa stanęła na drodze? byłoby to położenie bardzo niebezpieczne. — O! tak panie, odrzekł Stefenson, ale dla krowy!...

Ale większe miał jeszcze do zwyciężenia przeszkody z powodu obranego kierunku drogi, przez trzęsawiska, przez które kazał bić groblę. Nareszcie pomimo niezmiernych nakładów, bowiem nasyp przez błota kosztował 25,000 funtów szterlingów (przeszło milion marek), i wbrew wszystkim złowieszczym przepowiedniom, Stefenson 15-go Września 1830 r. wypuścił racę, (tak on nazwał swoją lokomotywę) i w jednej godzinie przebiegł nią 30 mil angielskich.

Od tej chwili sprawa lokomotywy stanowczo została wygraną. Wszakże 12 jeszcze potrzeba było lat i pośrednictwa samej królowej, która w roku 1842 odbyła przejażdżkę na drodze żelaznej Windsorskiej, aby resztę panujących dotąd uprzedzeń rozproszyć.

Odtąd budowa kolei rozszerzać się zaczęła szybko po Europie. Różni monarchowie zasięgali nieraz rady Stefensona w przedmiocie budowy kolei w swych krajach. Król belgijski Leopold obdarzył go znakiem honorowym, którego Stefenson przez wrodzoną skromność nigdy nie nosił. Odmówił zarówno krzyża kawalerskiego, który mu ofiarował rząd angielski. W ostatnich latach swojego życia, Stefenson przeniósł się na wieś, zajmując się uprawą ogrodu z równem powodzeniem, jak się zajmował poprzednio budową machin. Pozostał on aż do śmierci prostym i skromnym, zarówno rozsądnym jak i dowcipnym; rozmowa jego była słodką, zajmującą i często żartobliwą.

Stefenson umarł w r. 1848 na gorączkę, 67 roku swego życia. Miasto Liwerpol wzniosło mu pomnik.

BODAJ TO MŁODOŚĆ.

Bodaj to młodość! Życie się toczy
Jak bystry strumień z głazy na głazy;
Każdą przeszkodę fala przeskoczy,
Lecz nie potrąci nigdzie — dwa razy;
Bo gdy minęła już, nie powraca,
A chociaż nie wie gdzie leży morze,
Pędzi doń ciągle i wód przezrocze
Wpadłszy nakoniec — istność utraca.

Bodaj to młodość! Jest pewna chwila,
Kiedy się człowiek wznosi najwyżej...
Czasem dosięga szubienic, krzyży,
A później... później .. duch się przesila
I już nie lata, lecz tylko chodzi;
A kiedy dola dobrze wysiecze,
Patrzaj! na wszystko wtedy się godzi,
I pochylony ledwie się wlecze.

Bodaj to młodość! Dopóki człowiek
Każdej się duszy jak dusza stawia;
A ile razy siebie objawia,
Choć drży i płonie — nie spuszcza powiek.
Ogień się łatwo w sercu rozżarza,
Namiętnie kocha lub nienawidzi,
Żaden go wtedy szał nie przeraża,
Obojętnością tylko się brzydzi.

Bodaj to młodość! O! kto za młodu
Z gorących wrażeń i czynów śmiałych
Na dalsze życie nie zebrał miodu...
Komu zostało dużo kart białych,
Kto nie zapełnił serdecznej próżni,
Kto choć przez chwilę nie żył za — wielu
Zkąd weźmie siłę by dojść do celu?
Zkądby wykonać to cośmy dłużni?

NIEKTÓRE CIEKAWE KOREJSKIE ZWYCZAJE.

Z pochodzenia Korejczycy pokrewni są Japończykom, ale Chiny były w przeciągu całych stuleci ich karmicielką i mistrzynią. Trudno znaleść dwa wschodnie ludy, któreby się bardziej nawzajem od siebie różniły, jak Japończycy od Chińczyków. Korejczycy zaś podobni do Japończyków pod wielu względami, lecz ulegając chińskiemu wpływowi i przesiąkli do głębi chińskiemi ideami, stanowią najciekawszy może typ w najciekawszej części świata. Mają oni japońskie rysy, chińskie obyczaje, obok tego własny sposób myślenia, obejścia się i działania. Zresztą nawet w zwyczajach zaczerpniętych napozór od Chińczyków, przebija się wiele cech japońskich, niektórym zaś z nich Korejczycy potrafili nadać własny oryginalny charakter.

Każdy dom korejski ma piwnicę, nie dla przechowywania wina, lecz dla konserwowania ciepła. Piwnica ta zowie się chan (khan), otwór zaś jej znajduje się w niewielkiej odległości od domu. Każdego wieczoru w zimie można widzieć biało ubrane postacie, snujące się dokoła otworu chanu i napełniające go suchemi gałęziami, lub też innym opałowym materyałem. Po zapełnieniu nim piwnicy drzewo się zapala i w domu przez noc całą utrzymuje się ciepło. W taki sposób służący, którzy zwykle nie mało mają roboty, nie potrzebują przynajmniej się troszczyć o doglądanie pieców. Z drugiej zaś strony mieszkanie przez całą noc należycie jest ogrzane, ponieważ pali się pod niem ogromny ogień; podłoga zaś przez którą ogień przenika do pokojów, zrobiona bywa zwykle z papieru przesiąkłego tłuszczem, a wreszcie piwnica stanowi jakby olbrzymią rurę, w której ciepło wybornie się utrzymuje.

Z nielicznemi wyjątkami wszystkie domy w Korei są jednopiętrowe, tak prosta zaś ich architektura ułatwia ogrzewanie mieszkań.

Europejczycy zmuszeni sypiać w korejskich domach, skarżą się zwykle z początku, że około północy ciepło dochodzi do tak wysokiego stopnia, iż niepodobna prawie oddychać w tej duszącej atmosferze. Natomiast o świcie, gdy ogień zgaśnie, a piwnica się ochłodzi, daje się uczuwać dokuczliwe zimno. Takie jednak drobnostki nie zdołają zakłócić snu poczciwego Korejczyka.

Po Eskimosach Korejczycy są największymi żarłokami i dlatego też śpią zwykle twardo. Możnaby rzec, że najważniejszą dla nich kwestyę stanowi jadło, i że ani rozporządzenie królewskie, ani nawet pękająca bomba nie zdołałaby przerwać korejskiej uczty. Szkoda tylko, że największym dla nich przysmakiem jest mięso młodych psów. Ulubionym natomiast ich napojem bywa zwykle japońskie piwo i pod tym względem nie można im odmówić dobrego smaku, gdyż ani w Milwaukee w Ameryce, ani też w Wiedniu lub Berlinie nie wyrabiają tak dobrego piwa, jak w cesarskim browarze w Tokio.

Podobnie jak i inni mieszkańcy Wschodu, Korejczycy spożywają niesłychaną ilość ryb, a zwłaszcza śledzi, poławianych zwykle w grudniu, lecz dopiero w marcu pojawiających się na stołach.

Co do owoców, to Korea przedewszystkiem może się pochlubić wybornymi kawonami i melonami. Natomiast ziemniaki popadły w niełaskę u mieszkańców tej krainy, skutkiem jakiegoś nierozsądnego królewskiego rozporządzenia, który zabronił stanowczo ich uprawy i użycia. Wprawdzie Europejczycy wprowadzili tam uprawę pożytecznej tej rośliny, która podczas głodu nawiedzającego corocznie niemal Koreę, mogłaby wielkie oddać usługi, dziś jednak w całym tym kraju niepodobna już znaleść ani jednego kartofla (patata).

Co do sygnałów korejskich, to są one nadzwyczaj oryginalne i ciekawe

gdyż polegają na rozpalaniu ognisk, które z oddali prześliczny przedstawiają widok. Również oryginalne są słupy, służące do wywieszania szyldów, na których zawsze odmalowaną bywa komiczna twarz ludzka. Słupy te widziane zdaleka, zwłaszcza w jasną noc księżycową, mogą przejąć niejednego mimowolnym dreszczem trwogi. Twarz ludzka, stanowiąca ich niby ozdobę, przedstawia portret Szang Suna, wielkiego koreańskiego bohatera. Żył on mniej lub więcej tysiąc lat temu, całe zaś życie jego upłynęło na torowaniu dróg w swej ojczyźnie. Jemu to zawdzięcza Korea większą część gościńców; dzisiaj zaś z każdego przydrożnego słupa okrągła twarz Szang-Suna zdaje się uśmiechać do pieszych wędrowców. Tu i owdzie pod portretem tego znakomitego męża, umiejący czytać po korejsku, mogą odczytać jego imię, które bądź co bądź warto zapamiętać, gdyż on pierwszy zaczął pracować w swej ojczyźnie dla publicznego dobra.

Dotąd jeszcze w całej Korei niema ani jednego hotelu, ale natomiast na brak restauracyi i prostych wcale nie wykwintnych oberży, mieszkańcy tego kraju bynajmniej uskarżać się nie mogą. Wprawdzie nie zdołają one zadowolnić wygórowanych wymagań Europejczyka, ale w oczach krajowców nic nie pozostawiają do życzenia, tam bowiem mogą zaspokoić głód, napić się japońskiego piwa i wyspać dowoli.

Wogóle zresztą Korejczycy nie są wcale wymagający i żadnych nigdy nie mają wymagań. Żaden jednak naród na świecie nie ma może takiego upodobania w pisaniu wierszy i malowaniu obrazów co koreański. Możnaby rzec nawet, że naród korejski składa się wyłącznie z poetów i malarzy, chociaż jak jedni tak drudzy nie wielki przynoszą mu zaszczyt. Należy jednak przyznać, że większa część Korejczyków odznacza się starannem wykształceniem, zastosowanem naturalnie do miejscowych pojęć.

W Korei, podobnie jak w Chinach, społeczne stanowisko mężczyzny zależy od jego powodzenia w egzaminach rozmaitego rodzaju; położenie zaś kobiety, jak i w innych częściach świata, pozostaje w ścisłym związku ze stanowiskiem jej męża. Niestety, podług ogólnego mniemania, egzaminatorowie korejscy są bardzo przedajni.

Bądź cobądź od wielu już stuleci nauka cieszy się w Korei należytym szacunkiem i uznaniem, chociaż nie wszystkie pojęcia Korejczyków w tej mierze mogłyby znieść krytykę wielce praktycznych synów XIX wieku.

Atoli Korejczycy mają również i swoje wady mniej lub więcej godne nagany, największą zaś z nich jest niezwykła słabość charakteru. Z tego też powodu naród ten prędzej lub później musi ustąpić z widowni.

Wszystkie zwierzęta korejskie są małe, lecz nadzwyczaj silne. Cały ten półwysep obfituje w tygrysy, niedźwiedzie, łosie, jelenie, aligatory, węże, orły, łabędzie, jastrzębie, sokoły, czaple, sroki, bekasy i skowronki. Ze zwierząt domowych hodują Korejczycy konie, krowy, wieprze, psy i koty, kozy zaś na królewskim tylko znajdują się dworze i odgrywają pewną rolę w rozmaitych religijnych obrzędach. Z ptactwa domowego wymienić możemy jedynie gęsi i kury, których jaja są wyborne, ale niestety, krajowcy nie umieją należycie ich przyrządzać.

Wogóle Korejczycy są bardzo łagodni względem swych dzieci i zwierząt domowych, największe zaś stósunkowo względy okazują wężom i jaszczurkom, których żaden prawdziwy Korejczyk nigdy nie zabija.

Z całego też królestwa zwierzęcego płazy wiodą tam najszczęśliwsze stósunkowo życie. Każdy choćby najuboższy i najbardziej zgłodniały krajowiec nie omieszka podzielić się swą strawą z jaszczurką lub wężem czołgającym się po skałach, lub grzędach jego ogrodu.

Do charakterystycznych zwyczajów korejskich należy palenie w każdym domu wiecznego ognia na cześć zmarłych przodków. Każda też wdowa w tym kraju jest do pewnego stopnia westalką, gdyż

utrzymywanie wiecznego tego ognia na pamiątkę zmarłego męża, poczytują krajowcy za najpierwszy i najświętszy jej obowiązek. Państwową religią jest kon- rodzaju, cieszą się w Korei nie mniejszą jak w Chinach, popularnością i powagą. Idąc zaś za przykładem Japończyków, mieszkańcy tego kraju wynaleźli dla



Sen o ojczyźnie. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304).

fucyanizm, choć zresztą Korejczycy, zarówno jak Chińczycy nie wielkie do dogmatów religijnych przywięzują znaczenie.

Gwiaździarze i kuglarze rozmaitego swych niewidomych specyalne i nader korzystne zajęcie. W Japonii każdy ociemniały krajowiec, nie mający środków do życia, trudni się kuglarstwem, w Korei zaś niewidomi wypędzają złe duchy,

wyłudzając dla siebie w ten sposób wcale niezły zarobek. Ciągłe obcowanie ze złymi duchami, otacza ich nawet w oczach krajowców urokiem czarodziejskiej mocy i potęgi. Im też przypisują Korejczycy umiejętność przestraszania ducha śmierci piekielną prawdziwie wrzawą, najbardziej zaś w swem rzemiośle wyćwiczeni czarownicy, umieją nawet podług ogólnego mniemania wpakować szatana do butelki, aby go wynieść na puste i odległe miejsce, gdzie już nikomu nie zdoła zaszkodzić.

Szczególną surowością odznaczają się prawa korejskie, dotyczące zdrady stanu. Jeżeli jaki Korejczyk popełni tę zbrodnią, to nietylko sam na śmierć zostaje skazany, ale też cała jego rodzina musi umrzeć z nim razem, aby cały ród zdrajcy zupełnej uległ zagładzie. Barbarzyński ten zwyczaj zaczerpnęli Korejczycy częścią od Chińczyków, częścią zaś od Japończyków. Żaden też Korejczyk niema prawa wymówić imienia swego króla. Dopiero po śmierci monarchy nadają mu imię, pod którem ma być znany w historyi, istotne zaś jego miano, które nosił przez całe życie, może znać tylko najbliższe otoczenie, wymawiają zaś je wyłącznie uprzywilejowane usta ukochanej żony, lub najbardziej pieszczonego dziecięcia. Najlżejsze dotknięcie korejskiego monarchy bronią lub jakiemkolwiek metalowem narzędziem, za niedarowaną uchodzi zdradę.

Dziwaczne to prawo obowięzuje tak dalece nietylko podwładnych, ale samego nawet króla, że przed 94 laty Tiang-Tsong-tai dang wolał raczej umrzeć z jakiegoś wrzodu, niż pozwolić go przeciąć swemu podwładnemu.

Ustrój korejskiego ministeryum spraw wewnętrznych na japońskim polega systemie, wszelkie zaś kwestye zagraniczne rozstrzygają się w takiż sam sposób, jak w Chinach. Na czele armii stoi dowódca zwany Pau-so i olbrzymią posiadający władzę, dopomagają mu zaś wodzowie niższego stopnia, znani pod nazwą Szam-Pau czyli pomocników decydującego organu. Pod kierunkiem Szam-Pau pracuje pewna ilość dostojników, zwanych Szum-Wi, czyli pomocnicy doradców, każdy zaś z nich ma jeszcze mniej lub więcej liczne grono sekretarzy.

ZBIEGOWIE Z WYSPY ZACHALIN.

Smutne jest życie na Sybirze. Jak okiem zasięgniesz, nieraz nietylko osady żadnej, ale nawet domku nie ujrzysz. Żyjesz jak na pustyni niezmiernej. Towarzyszem twym nieodstępnym to góry, lasy, stepy. One biednego wygnańca dzielą setki mil od ojczyzny a po większej części na zawsze.

Siedziałem właśnie w mej jurcie,*) pogrążony w smutnych myślach, które wśród tej jednostajnej ciszy, niczem, najmniejszym nawet szelestem niezamąconej, same się napierają człowiekowi. Ciężkie, posępne one były. Tam, z najodleglejszego zakątka mego serca, począł się wyłaniać jak widmo rak nieznośnej niemocy moralnej, udręczenia wewnętrznego, które mimo największego hartu powoli człowieka łamie i cieleśnie i duchowo, jeśli w czas się temu nie zapobieże. Czułem to dobrze, i dla tego chwyciłem się środka, którym jest ogień.

Mieszkańcy Syberyi nie pozwalają mu wygasać przez całą zimę. I ja go nanieciłem. Wkrótce rozległ się po samotnej chacie wesoły trzask palących się drewek, który i myśli moje rozweselił. Przypatrywałem się z zadowoleniem czerwonej tęczy, igrającej po zamarzniętych szybach w tysiącznych kolorach. Wszystko dokoła mnie ożywiło się, jakże się zatem mógłem smucić. Nagle pies mój począł strzydz uszami, jak gdyby coś usłyszał. Powstał na nogi i począł się wsłuchiwać. I mnie

*) Jurta to namiot z filcu.

zachowanie się psa poczęło interesować. Cóż on węszy, pomyślałem. Wybiegłem na chwilę przed jurtę i usłyszałem jakieś niewyraźne uderzenia. To koń, pomyślałem i wszedłem napowrót do jurty, bo znajdować się wśród tego trzaskającego mrozu przez minutę znaczyło nos i uszy odmrozić sobie zupełnie. Któżby to o tej porze mógł znajdować się w drodze ku mej jurcie? zapytałem. Nikogom się bowiem nie spodziewał a tem mniej było można spodziewać się obcego przybysza przy tych niezmiernych zaspach śniegu i wśród takiego mrozu. Ale zobaczymy. Pies nagle zaskowywyczał, drzwi jurty się otwarły i przy piecu ukazała się rosła postać mężczyzny. Na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że przybysz nie pochodził z szczepu tatarskiego, który tu jest osiadłym pod nazwą jakuckiego mimo ubrania, właściwego temu szczepowi. Z zgrabiałemi od zimna rękami począł niezgrabnie rozwięzywać szal na szyi i rzemień u czapki. Przypatrywałem mu się przez chwilę. Ujrzałem twarz kipiącą życiem. Wywnioskowałem z niej, że mężczyzna mógł liczyć około trzydziestu lat. Rysy twarzy szorstkie, miały dziwnie charakterystyczny wyraz, który udało mi się niejednokrotnie spostrzedz na twarzach dozórców aresztantów, jak wogóle ludzi, którzy są przyzwyczajeni do wymagania szacunku i do dodawania sobie powagi, ale którzy z drugiej strony muszą się zawsze mieć na baczności. Czarne, wyraziste oczy jego rzucały krótkie, przenikliwe spojrzenia. Dolna część twarzy wystawała niecoś, zdradzając tem samem namiętne usposobienie. Poznać jednak było można, że człowiek ten w burzy życia nauczył się trzymać słabości swe na wodzy. Jedynie lekkie drganie dolnej wargi i nerwowa gra muszkułów zdradzała od czasu do czasu wewnętrzny niepokój i ukrytą walkę.

Nie wiem dla czego, ale nagle przebłysła przez umysł mój myśl, że ten człowiek musi być mordercą. Jak mógłem, tak tłómaczyłem sobie niedorzeczność takowej, ale nadaremnie. Mimo to nie uczuwałem obrazy do niego. Najpierw, że rad byłem w tej chwili, iż miałem jakąś żywą duszę przy sobie, a potem zmęczenie i jakiś wyraz tęsknoty spędzały z twarzy jego zwykłą ponurość i szorstkość i czyniły ją przyjemniejszą.

— Dobry wieczór Panu! — rzekł, przewracając fajkę dla wydobycia z niej niedopalonych resztek i uważnie mi się przypatrując.

— Dobry wieczór! — odpowiedziałem, ze swej strony również mustrę czyniąc.

— Musi mi już Pan wybaczyć, że wstępuję do niego jako nieproszony gość. Chciałem się tylko nieco ogrzać i fajkę zapalić — poczem się oddalę; o dwie wiorsty tu ztąd mam znajomych, którzy mnie zawsze do siebie przyjmują. W tych wyrazach przebijała pewna inteligencya człowieka, który nie chciał się nazywać natarczywym. Spojrzał też na mnie wzrokiem, jakby wyczekiwał, co mu na to odpowiem.

— Kim jesteście? — zapytałem go.

— Ja? nazywam się Błażej, to jest tak mnie ogólnie nazywają. Rzeczywiste moje imię jest Wasyli. Możeś Pan słyszał o mnie, pochodzę z obwodu bajagatajskiego?

— Z nad Uralu? Jesteście zatem włóczęgą?

Na te słowa zaledwie dostrzegalny uśmiech zadowolenia przemknął po twarzy przybysza.

— Tak jest? ten sam.

— Cieszę się, pozostańcie zatem u mnie na noc. Urządźcie się wygodnie. Jestem sam, towarzystwo więc Wasze będzie mi miłem. Przygotuję tymczasem herbaty.

Włóczęga chętnie się na to zgodził, gdyż na to tylko czekał. Przytem już poprzednio wprowadził konia do stajni, chcąc tem samem właścicielowi jurty niejako powiedzieć, że przychodzi do niego na nocleg.

— Dziękuję Panu! — odrzekł też z pospiechem — i wyszedł na podwórze, ażeby przynieść do jurty pakunki, które miał ze sobą. Następnie ściągnął ze siebie kaftan i płaszcz i usiadł przy ogniu naprzeciw mnie.

— Tak, panie, odpowiedział uśmiechając się — przyznam się panu, że zajeżdżając ku jurcie Pana, pytałem się w duchu: przyjmie on mnie na noc? Wiem bardzo dobrze, że niejeden z naszych jest tego rodzaju, że go nie można wcale zatrzymać. Ja do takich nie należę — mogę to śmiało powiedzieć. Pan powiedziałeś także, że już coś o mnie słyszałeś?

— Tak jest, słyszałem.

— A więc widzisz Pan, że nie chwaląc się, jestem człowiekiem uczciwym i prawym; mam krowę, wołu w stajni i konia; orzę mą rolę...

Mówił to wszystko głosem szczególnym, wpatrując się z zamyśleniem w pewien punkt.

— Tak! — ciągnął dalej — pracuję, jak nam pracować Pan Bóg przykazał. Mnie się zdaje, że to lepiej, jak kraść lub mordować.

— Oczywiście — odparłem.

O Wasylim słyszałem już niejedno od znajomych; pochodził on od owych kolonistów — włóczęgów, żył już od dwuch lat w swym domku, położonego wśród boru, w jednej z większych gmin jakuckich. Był to jeden z tych kilku, którzy uczciwą pracę przekładają nad kradzież i rabunek, z których ci koloniści żyją. Ażeby swego dopiąć, nie wzdrygają się nawet przed morderstwem. Przybysza jednak, który pragnie osieść pomiędzy nimi, wspomagają, jak mogą. Tak więc i nasz Wasyli otrzymał od gminy chatę, wołu i w pierwszym roku sześć funtów żyta na zasiew. Żniwo dobrze wypadło; oprócz tego podjął się jakutom pod bardzo korzystnymi warunkami kosić trawę, handlował tytoniem, tak że w krótkim czasie dorobił się znacznego gospodarstwa. Jakuci szanowali go i nazywali go w obecności jego Wasylim Iwanowiczem, pod nieobecność zaś Wasyjką. Szanowali go także i duchowni nasi i posadzali przy jednym stole. Mógł był się zatem Wasyli czuć szczęśliwym, ale w rzeczywistości nim nie był. Cóż mu więc dolegało? Zachowanie było dziwne. Od czasu do czasu zauważyłem drganie dolnej części twarzy. Zmiarkowałem, że Błażej tłumił w sobie coś, z czem najchętniej gwałtem byłby wybuchnął. Było to coś gorzkiego, smutnego, tęsknego. (Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

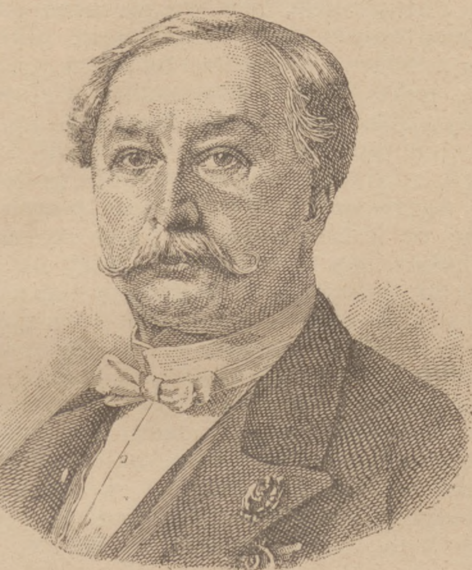
Sen o ojczyźnie. Dobrze wykonana pod względem charakterystyki istot rycina nasza przedstawia, jak to z rysów twarzy i ubioru łatwo poznać, Włocha, którzy w naszych stronach są po największej części wędrownymi kataryniarzami. Widać po zmęczonej jego twarzy i opuszczonej ręce, że rzemiosło jego niełatwe. Usnął — sen jego dziwnie jakoś jest błogi. To rozrywka, prawdziwie przyjemna rozrywka, jakiej na jawie dawno nie zaznał, bo życie rzeczywiste to pasmo bezustannych trudów i mozołów o kawał chleba codziennego. Marzy o swej ojczyźnie ukochanej, o tem niebie błękitnem, a wiecznie pogodnem, o rodzinie swej, przyjaciołach i znajomych. Tu mu wszystko obce. Gdyby miał nawet wygodny byt, do tej wygody łączyłyby się jednakowoż łzy goryczy i tęsknoty. O, boć to leży w naturze każdego człowieka gonić za obrazami wesoło spędzonej młodości wśród swoich, którzy go znają, którzy odgadują jego życzenia, sprzyjają mu i kochają go. O, bo nad rodzicielskie ognisko, nie istnieje w świecie lepsze siedlisko. I małpa patrzy zmęczonym wzrokiem. I ona bowiem wie, co znaczy wolność; radaby powrócić do dziewiczych swych borów i lasów afrykańskich i amerykańskich, ale musi pomagać zarabiać drugim na chleb. Człowiek się lituje nad bliźnim, gdy widzi, jak się drudzy nad nim znęcają, rzeczywistego zrozumienia dla zwierząt mało jednak jest dotąd.

Mój ulubieniec. O tym obrazku niepotrzeba chyba wiele mówić. Każda matka najlepiej wie i czuje, co to miłość do dziecka własnego. Radaby nieba mu przychylić. Oddycha jego tchnieniem, żyje jego życiem. Instynkt jej macierzyński odgaduje najmniejsze życzenie ulubieńca swego. Miłość matki do dziecka jest nieraz nawet za czuła, a trudno nagiąć drzewo wyrosłe, gdy go się za młodu nie naginało rozsądnie. I rodzic często nieszczęśliwy i dziecko nieszczęśliwe.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Książę Łobanow-Rostowski

był rosyjskim ministrem spraw zagranicznych. Choć krótko nim był, dla Rosyi zrobił on niezmiernie wiele. Po Bismarku uznano go za najzdolniejszego dyplomatę chwili bieżącej. Jego to głównie zasługą, że nagle taki zwrot nastąpił w sympatyach ludów ku temu tak mało jeszcze dotąd ucywilizowanemu narodowi północy. On niemało też przy-



spieszył nieszczęsny krok bułgarskiego księcia Ferdynanda, poświęcającego szczęśliwość wieczną pierworodnego syna swego dla celów doczesnych. Umarł w drodze do Kijowa, ruszony paraliżem na serce, na które już dawno cierpiał. Liczył 73 lata. Był to jeden z tych rzadkich Rosyan, którzy potępiali gwałtowne środki, przedsiębrane przeciw Polakom.

Zbytki kobiet rzymskich.

»Ktoby zobaczył jedną z tych pań rano, zaraz po przebudzeniu, uciekłby przerażony, myśląc, że to pawian albo koczkodan. Z tej przyczyny zamykają się one wtedy tak starannie, żeby ich oko męskie nie dojrzało.«

Tak pisze pewien pisarz rzymski, żyjący w r. 160 po Narodzeniu Chrystusa. Słowa jego możnaby uważać za przesadzone, gdyby ich nie potwierdzały pisma jednego z Ojców Kościoła, Tertuliana, który nader surowo karci ówczesne niewiasty za zbytek w strojach.

Według ogólnego zwyczaju, modnisia rzymska smarowała wieczorem całą twarz ciastem, składającem się z ośrodka chleba i mleka oślego albo też ryżu, wody różanej i mąki grochowej. Żona Nerona, Poppea Sabina, wynalazła ten plaster upiększający, który od jej imienia zwał się »Poppeana.« Przez noc ta powłoka uschła i popękała, więc panie ówczesne mogły wystraszać ludzi. Jeżeli jeszcze owa »piękność« nosiła perukę, sztuczne brwi, wprawiane zęby i tam dalej, musimy zgodzić się z Lucyanem, że po przebudzeniu była podobną do pawiana.

Bogata Rzymianka, podniósłszy się z łoża, odsuwała kotarę i wchodziła do ubieralni, przywołując służebnice klaskaniem w ręce. Na to hasło wbiegał cały zastęp niewolnic, posłusznych na każde skinienie i wyćwiczonych w swojej sztuce. Tysiąc ośmset lat temu, w zamożnym domu musiało być najmniej dwieście służebnic, z których każda miała swój wydział.

W rannej porze pani była niewidzialna dla gości; przyjmowała tylko handlarzy z towarami, wróżbitów, kabalarki i posłańców z listami miłosnymi.

Jedna z niewolnic przynosiła na miednicy świeżo wydojone, ciepłe jeszcze mleko ośle i za pomocą gąbki zmywała z twarzy swojej pani resztki plastra. Ośle mleko niepoślednie miejsce zajmowało wtedy w toalecie damskiej; niektóre bogaczki myły się w niem siedmdziesiąt razy dziennie. Ilekroć Poppea udawała się w podróż, prowadzono za nią całe stada oślic, ażeby się mogła w ich mleku kąpać.

Po umyciu, służebnice nacierały oblicze pani mydłem i pachnidłami, a potem zabierały się do malowania. W kosztownych szkatułkach z kości słoniowej i kryształu górnego, mieszczą się w muszlach i złotych puszkach rozmaite kosmetyki, bez których żadna Rzymianka obejść się nie mogła.

Skoro twarz już była wytynkowana na biało i różowo, inna niewolnica przynosiła muszlę, zawierającą sadze rozrobione wodą i za pomocą pędzelka zakreślała nad oczyma strojnisi czarne, regularne łuki. Z kolei podawano jej zęby z kości słoniowej, w złoto oprawne.

Przez cały czas toalety, dama żuła wonny mastyks, któremu zawdzięczała świeżość oddechu.

Przyszła kolej na czesanie; zajmowały się niem specyalnie w tej sztuce kształcone niewolnice. Odkąd legiony rzymskie przedarły się w głąb Niemiec, najmodniejsze w stolicy świata stały się włosy złote lub rude. Która z modniś nie chciała nosić peruki, używała do farbowania swoich splotów rozmaitych maści i tynktur. Po umalowaniu włosów, jedna z niewolnic grzała żelazko nad węglami w srebrnej kadzielnicy i zakręcała na głowie swojej pani mnóstwo loczków. Rozpuszczone kędziory skrapiano cennym olejkiem z rośliny, nardem się zowiącej, którego funt kosztował około 100 marek podług dzisiejszej monety, oraz innymi wonnymi płynami. »Kobiety marnowały na maści i pachnidła majątek swoich mężów« — utyskuje wspomniany pisarz.

Po rozczesaniu włosów pleciono je w misterne węzły i pukle, upinając srebrnemi i złotemi szpilkami. Z kolei zbliżała się fryzyerka, biegła w swoim kunszcie, i po długiej naradzie składała loczki nad czołem, spuszczała pojedyńcze kędziory na skronie lub ramiona, a wreszcie zdobiła fryzurę dyademem lub kwiatami. Przez cały czas, przed piękną damą klęczał murzynek lub niewolnica, trzymając zwierciadło z polerowanej blachy srebrnej, wysadzane w około drogiemi kamieniami.

Po odejściu fryzyerek, przychodziła niewolnica ze srebrnemi narzędziami, żeby oczyścić, obciąć i wypolerować paznogcie u rąk i nóg strojącej się. Rzymianki niezmiernie o to dbały, aby mieć piękne ręce i różowe, błyszczące paznogcie. Nie noszono wówczas ani pończoch, ani rękawiczek.

Wtedy dopiero Rzymianka kazała podawać śniadanie; wynosili je na srebrnych tacach dwaj paziowie, rodem z Egiptu. Po spożyciu śniadania Rzymianka znowu oddawała się w ręce niewolnic, które ubierały ją w szaty i skrapiały wonnościami. Po raz ostatni spoglądała w lustro, a w nim zamiast poprzedniej maskarady, odbijało teraz piękne, świeże oblicze.

Czy alkohol podnieca siły cielesne.

Niejaki dr. Herman Frey z Berna w Szwajcaryi pisze w tej sprawie tak:

Praca duchowa różni się nadzwyczaj od pracy cielesnej. Doświadczenia najrozmaitsze dowiodły, że alkohol choćby w najdrobniejszych dozach użyty dla pracy umysłowej jest nadzwyczaj szkodliwy. Tego nikt nie zbije. Co zaś do pracy ręcznej, cielesnej, to zapatrywania nie były jednolitemi. Jedni twierdzili, że alkohol siły cielesne pomniejsza, drudzy, że siły muszkułów przez alkohol się zwiększają. Większa część robotników oświadczała mi: wódka i piwo jest nam niezbędne, pracujemy bowiem wskutek tego i więcej i wytrwalej.

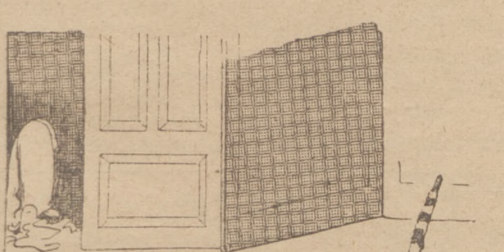
Skrajni przeciwnicy zaprzeczają tym twierdzeniom i tłómaczą tak: alkohol nie zwiększa sił cielesnych, lecz przytępia tylko uczucie zmęczenia. Człowiek oczywiście nie czuje następnie przez pewien czas zmęczenia to prawda i dla tego zdaje mu się, że alhohol pobudza do wytrwałości. Tymczasem ta wytrwałość to porównanie — choć tylko w przybliżeniu — do konia, który nie mogąc się ruszyć, pod wpływem bicza wytęża siły swe nienormalne i następnie pada nieżywy. Alkohol więc jest owym biczem, który człowieka popędza do nienormalnych sił i wytężeń. Gdy działanie alkoholu ustąpi, ustąpią i siły, a zmęczenie będzie tem nieznośniejsze. Alkohol nie ma bowiem w sobie cząstek pożywnych rzeczywistych, lecz tylko sztuczne, które zdrowiu zagrażają.

Dr. Frey czynił doświadczenia z robotnikami na aparacie, ergografem nazwanym. Każdy robotnik musiał średnim palcem u ręki podnosić przymocowany u tego aparatu ciężarek w pewnych krótkich przeciągach czasu, naprzykład co dwie sekundy. Musiała to odnośna osoba czynić aż do zupełnego wyczerpania sił. Urządzony na aparacie miaromierz wykazuje za każdą razą wysokość drogi i wagi, które pomnożone wykazują ogólną wagę sił człowieka, podług tego, o ile muszkuł człowieka poprzednio był zmęczony lub świeży. Przypadkiem zauważył mężczyznę, który nadzwyczaj szybko się zmęczył. Począł badać przyczynę i dowiedział się, że robotnik wypił poprzednio szklankę piwa. Po tym wypadku zrobił dr. Frey 700 spostrzeżeń na pacyentach, kolegach a szczególnie na sobie, ażeby zbadać wpływ alkoholu na muszkuły. Najpierw uczynił to na muszkule niezmęczonym. Wykazało się, że pod wpływem alkoholu zdolność do pracy zmniejsza się ogromnie. Jakże więc zdradliwym jest ten wyskok dla osób nieświadomych,

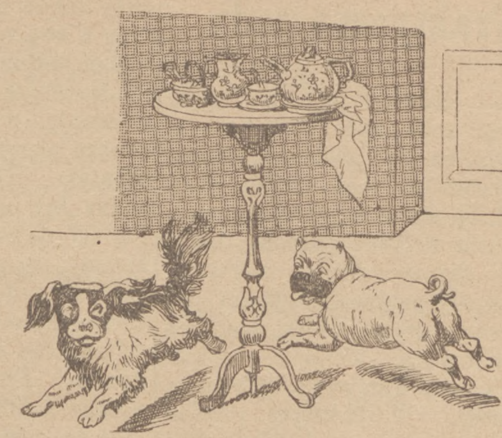
gdy takowym po jego użyciu wydaje się, że sił nabrali i że robota raźniej i znacznie łatwiej postępuje. Tymczasem rzecz ma się przeciwnie. Gdy mężczyzna przed użyciem alkoholu podniósł 10 funtów, po użyciu wyskoku tego dokonać nie mógł. Człowiek zażywający więc alkohol więcej pracuje, ale za to gorzej. Dr. Frey podnosił ciężar 10-funtowy co dwie sekundy, dopóki sił nie wyczerpał; po minucie rozpoczął pracę na nowo; doprowadził już tylko do wysokości 2.38 kilograma; po ponownej minucie wypoczynku stanął na 0.73, potem na 0.18, a w końcu na 0.05. Po tej próbie napił się silnie rozcieńczonego koniaku i doprowadził zaraz do 1.10 kg., następnie co minutę 0.81, 0.53, 0.51, 0.25, 0.05 0.02. Po kwadransie wypoczynku był stósunek taki: 1.96, 0.18, 0.38 0.14, 0.08, 0.02. Próby na innych osobach dokonane miały ten sam wynik.

Robotnicy mają więc słuszność, twierdząc, że alkohol sił dodaje. Pokazał go na przykładach dr. Frey. Ale z przybytkiem tych sił idzie w parze ociężałość fizyczna i rychłe zniszczenie fizyczne u człowieka. Kto temu winien? Nam się zdaje, że to dzisiajsze stosunki socyalne temu najwięcej winne. Gdyby robotnik nie przeciążał swych sił nadmiarem pracy, nie potrzebowałby sięgać do alkoholu, aby siły sztukować, bo alkohol to narkotyk, do którego każdy łatwo przylega.

Przebiegłe brysie.



„Zgoda buduje, niezgoda rujnuje"
Stare nasze powiada przysłowie.
I między tą trójką zgoda panuje
Nie wyszła im jednak na zdrowie.



Że brysie mieli zajęcia za mało
Więc ze swawoli figli im się chciało.
Stół smaczne potrawy zapełniają
Psy zaś naokół harce wyprawiają.



Psoty zazwyczaj kończą się smutnie.
I na ich sprawcach mszczą się okrutnie.
Stół się wywraca, trunki spadają.
Psy po niewczasie skruchy doznają.

(Dokończenie nastąpi.)

Zdania i myśli.

Takich ma zwykle naród, jakich godzien panów.
Dobry ma opiekunów, a zły zaś tyranów.

* * *

Tyran, to rózga boska zły naród karząca,
Gdy rózga niepotrzebna, Bóg ją precz odtrąca.

* * *

Bóg to ojciec karzący, wrogowie to kije,
Im więcej zgrzeszył naród, tem bardziej go bije.

* * *

Częstokroć się zdarzało, że ten, który w sile
Pokładał swą nadzieję, legł zwalczon w mogile.

Praktyczne rady.

— **Świeże jaja w zimie.** Chcąc żeby kury niosły się w zimie, trzeba przedewszystkiem wybierać do tego młode. Najbardziej nośne są »bramaputry.« Pokarm w zimie powinny dostawać zawsze ciepły, zwłaszcza rano. Najodpowiedniejszym jest pszenica, gryka, owies, jęczmień i kukurydza. Zmiana pożywienia bardzo korzystnie wpływa na nośność. W Ameryce przekonano się, że kury chętnie jadają kajennę i lepiej wtedy się niosą.

— **Oznaczyć wysokość drzewa.** Istnieje sposób łatwy oznaczenia wysokości drzewa, trzeba tylko, żeby stało na równinie. W dzień słoneczny wbija się kij pionowo obok drzewa, potem mierzy się długość kija, jego cienia, oraz cienia rzucanego przez drzewo. Przypuśćmy, że kij będzie miał trzy łokcie, jego cień cztery, a cień drzewa 20 łokci, wtedy robi się następujący obrachunek: 20 łokci ma się do wysokości drzewa, jak 3 łokcie do czterech; więc drzewo jest wysokie na 15 łokci.

Rozmaitości.

* **Jakie były niegdyś prawa przeciw bezżennym?** W starożytności rządy bardzo surowo obchodziły się z bezżennymi. W Atenach kawaler nie mógł sprawować urzędu publicznego, Platon skazywał ich na karę pieniężną, w Sparcie zaś wolno było kobietom chłostać nieżonatych w świątyni Herkulesa. Rzymianie także nakładali na nich kontrybucyę; przy ubieganiu się o urzędy, człowiek żonaty miał zawsze pierwszeństwo przed nieżonatym. Ojciec trojga dzieci wolny był od podatku osobistego. W nowszych czasach, prawa kanadyjskie przyznawały żonatym znaczne przywileje, kiedy przeciwnie, kawalerowie musieli wnosić znaczne opłaty i byli prześladowani. Przy końcu XVII w., władze w Massachusetts uchwaliły, że człowiek nażonaty obowiązany jest zabić corocznie sześć wron. W 50 lat później, w Marylandzie, rada miejska nałożyła podatek na wdowców bezdzietnych i kawalerów, którzy ukończyli już lat trzydzieści.

* **W których krajach żywią konie owocami?** W Egipcie konie wicekróla dostają zamiast owsa, rodzynki, dzięki czemu są nadzwyczaj wytrzymałe w biegu. Pewien oficer angielski uczynił doświadczenie ze swoim wierzchowcem i, puściwszy się w drogę, na każdym popasie dawał mu pół funta rodzynków. Koń przybył na miejsce zupełnie świeży, przebywszy jednego dnia ogromną przestrzeń. W Smyrnie konie, osły, muły i kuce żywione są wyłącznie figami i liśćmi figowemi. W Indyach Zachodnich, szczególniej na Jamajce i Barbados, nie tylko konie, lecz i bydło karmią resztkami trzciny cukrowej i bananami. W Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych dają koniom opadnięte jabłka, nadzwyczaj przez nie lubiane. W Australii żywią je także jabłkami, w Tasmanii zaś brzoskwiniami. W Norwegii dostają chleb owsiany, nad Renem żytni, a w północnej Ameryce zimą zmuszone są karmić się korą drzew. W Arabii daktyle stanowią ich pożywienie. W ogóle konie bardzo lubią owoce, a szczególniej jabłka, które im bardzo służą.

* **Najkosztowniejszym parlamentem jest francuski.** Naród na utrzymanie obu izb płaci rocznie około siedmiu milionów marek. Drugie miejsce zajmuje parlament hiszpański, kosztujący blizko 2 mil. marek. Włochy wydają o 2500,000 m. mniej na swoich posłów; Austrya płaci 1500,000 m. swoim izbom, Anglia 1100,000, Belgia i Portugalia po 750,000. Najoszczędniejsi są Niemcy, gdyż parlament ich kosztuje tylko niecałe 400,000 m. rocznie.

ŻARTY.

Ma słuszność.

— Maciejowa, co wy wyprawiacie? Po co zawięzujecie pysk krowie? Nie będzie mogła oddychać.

— To niech sobie nie oddycha, aby mleka dużo dawała; toć powiadają, że krowa co wiele ryczy, mało mleka daje, a jak jej zwiążę gębę, to całkiem nie będzie mogła ryczeć!...

Wdzięczny.

— Kochany Panie adwokacie! Jestem Panu niezmiernie wdzięczny za dzielną obronę, z powodu której mnie uwolniono. Jestem jednak tak biedny, że Panu zapłacić nie mogę, ale za to przyślę Panu szynkę z ukradzionej świni!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.